



Graham
Greene

Czynnik ludzki

ROZDZIAŁ I

Od ponad trzydziestu lat, kiedy to jako młody pracownik trafił do firmy, Castle jadał lunch w pubie na tyłach St James's Street, niedaleko biura. Gdyby go zapytać, dlaczego się tam stołuje, odpowiedziałby, że z powodu wyśmienitych kiełbasek. U Watneya dawali wprawdzie lepsze piwo, ale smak kiełbasek przeważał szalę. Castle zawsze potrafił wytłumaczyć się ze swoich posunięć, nawet tych najniewinniejszych, i zawsze był punktualny.

Z wybiciem pierwszej był więc gotów do wyjścia. Jego asystent, Arthur Davis, z którym dzielił pokój, wychodził na lunch punktualnie w południe i wracał, acz najczęściej tylko teoretycznie, godzinę później. Zrozumiałe, że na wypadek pilnego telegramu któryś z nich zawsze musiał być w biurze, aby go rozszyfrować, ale obaj dobrze wiedzieli, że w ich komórce nie zdarza się nic naprawdę pilnego. Różnica czasu między Anglią a rozmaitymi rejonami wschodniej i południowej Afryki, którymi się zajmowali, jest zazwyczaj dostatecznie duża – nawet jeżeli w przypadku Johannesburga wynosi zaledwie godzinę – by nikt poza wydziałem nie martwił się, jeśli przesyłkę doręczono z opóźnieniem. Losy świata, mawiał Davis, nigdy nie będą się ważyć w Afryce, niezależnie od tego,

ile ambasad Chińczycy czy Rosjanie otworzą od Addis Abeby po Konakry ani ilu Kubańczyków tam wylądaje. Castle sporządził notkę dla Davisa: „Jeśli Zair odpowie na telegram nr 172, wyślij kopie do Ministerstwa Skarbu i Ministerstwa Spraw Zagranicznych”. Spojrzał na zegarek. Davis spóźniał się dziesięć minut.

Castle zaczął pakować aktówkę. Włożył do niej notatkę o zakupach, które miał zrobić dla żony w sklepie z serami na Jermyn Street, i o prezencie dla syna, o który posprzeczała się rankiem (dwie paczki malteserów), a także książkę *Clarissa Harlowe*, przez którą nigdy nie przebrnął dalej niż do rozdziału LXXIX pierwszego tomu. Dokładnie w chwili, gdy usłyszał zamykające się w pobliżu drzwi windy i kroki Davisa na korytarzu, wyszedł z pokoju. Jego czas na kielbaski uległ skróceniu o jedenaście minut. W przeciwieństwie do Davisa Castle zawsze wracał punktualnie – to jedna z zalet, które przychodzą z wiekiem.

W biurze tak poważnym jak to ekscentryczność Arthura Davisa rzucała się w oczy. Nadchodził właśnie z przeciwnego końca długiego białego korytarza ubrany tak, jakby dopiero co wrócił ze spędzonego w siodle weekendu na wsi albo z wyścigów. Miał na sobie zielonkawą sportową marynarkę, a z górnej kieszonki wystawała chusteczka w szkarłatne kropki. Można go było wziąć za bukmachera. Był jak źle obsadzony aktor – chcąc się dopasować do kostiumu, zwykle kładł rolę. W Londynie wyglądał, jakby właśnie wrócił ze wsi; na wsi, kiedy odwiedzał Castle’a, nieodparcie przypominał turystę mieszczaucha.

– Punktualnie jak zwykle – rzucił z typowym dla siebie uśmiechem winowajcy.

– Mój zegarek zawsze się trochę śpieszy – odpowiedział Castle, przepraszając za przyganę, której wcale nie wyraził.

– Podejrzewam, że z powodu moich zaburzeń lękowych.

– I jak zawsze szmuglujesz tajemnice państwowe? – zakpił Davis, robiąc ruch, jakby chciał chwycić aktówkę Castle’a. W jego oddechu wyczuwało się słodkawą woń: był uzależniony od portu.

– Zostawiłem ci je, żebyś miał co sprzedać. Z twoimi podejrzanymi znajomościami więcej za nie dostaniesz.

– Miło z twojej strony.

– Poza tym jesteś kawalerem. Potrzeba ci więcej pieniędzy niż żonatemu. Ja dzielę koszty utrzymania na pół...

– Ale te koszarne resztki – wpadł mu w słowo Davis.

– Pieczeń przerabiana na zapiekankę, te podejrzone klopsiki... Czy to warto? Żonaty nie może sobie pozwolić nawet na porządne porto. – Wszedł do pokoju i zadzwonił po Cynthię. Davis starał się o nią już od dwóch lat, ale córka generała brygady szukała lepszej partii. Mimo to Davis nie tracił nadziei; twierdził, że romans wewnątrz firmy jest mniej ryzykowny, bo nie grozi podejrzeniami o złamanie zasad bezpieczeństwa. Castle jednak wiedział, jak głęboko Davis jest przywiązany do Cynthii. Bardzo tęsknił za monogamicznym związkiem, a jego docinki były odruchem obronnym samotnego człowieka. Kiedyś Castle odwiedził go w mieszkaniu, które Davis dzielił z dwoma pracownikami Ministerstwa Ochrony Środowiska, nad antykwariatem nieopodal Claridge’a, w prestiżowej okolicy w samym centrum.

– Powinieneś się przeprowadzić bliżej firmy – poradził mu wtedy Davis w zagraconym salonie. Czasopisma różnej maści („New Statesman”, „Penthouse” i „Nature”) zaściewały sofę, a brudne szklanki po przyjęciu wydanym przez współlokatora, poupychane po kątach, czekały na sprzątaczkę.

– Dobrze wiesz, ile nam płacą, a ja jestem żonaty –

odparł Castle.

– Gruby błąd.

– Ja tak nie uważam – odrzekł Castle. – Lubię swoją żonę.

– No i oczywiście masz jeszcze bachora – ciągnął Davis.

– Nie mógłbym sobie pozwolić jednocześnie na dzieci i na porty.

– Tak się składa, że bachora też lubię.

Castle miał właśnie zejść po czterech kamiennych stopniach na Piccadilly, kiedy zawrócił go portier:

– Brygadier Tomlinson życzy sobie pana widzieć.

– Brygadier Tomlinson?

– Tak, czeka w pokoju A-trzy.

Castle spotkał się z brygadierem Tomlinsonem tylko raz, przed wielu laty – tak wielu, że nie chciało mu się już ich liczyć – w dniu, kiedy został przyjęty do pracy i złożył podpis pod Ustawą o Ochronie Tajemnicy Państwowej, a brygadier był młodszym oficerem, jeśli w ogóle miał już patent oficerski. Pamiętał tylko jego mały czarny wąsik, kręcący się jak UFO nad arkuszem bibułki, całkiem gładkiej i białej, zapewne ze względów bezpieczeństwa. Kiedy wsiąkł w nią ślad po podpisie Castle'a, bibułkę najprawdopodobniej podarto i wrzucono do pieca. Niemal sto lat wcześniej sprawa Dreyfusa najlepiej pokazała, jakie niebezpieczeństwa czyhają w koszu na śmieci.

– W głębi korytarza, na lewo – przypomniał mu portier, gdy Castle ruszył w niewłaściwym kierunku.

– Proszę, proszę wejść, Castle – zaprosił go brygadier Tomlinson. Jego wąsik był teraz równie biały jak bibułka; z czasem dorobił się brzuszka widocznego pod kamizelką dwurzędowego garnituru. Tylko jego dziwny stopień się nie zmienił. Nikt nie wiedział, w jakim pułku przedtem

służył, jeśli takowy w ogóle istniał, wszystkie stopnie wojskowe w tym budynku były bowiem nieco podejrzone. Mogły stanowić element wszechobecnej konspiracji. – Przypuszczam, że nie zna pan pułkownika Daintry’ego?

– Chyba nie... Dzień dobry.

Pomimo schludnego ciemnego garnituru i ostrych rysów Daintry, dużo bardziej niż Davis, sprawiał wrażenie człowieka z zewnątrz. Davis na pierwszy rzut oka pasował do kantoru bukmachera, podczas gdy Daintry niechybnie czułby się jak u siebie w wysmakowanych wnętrzach lub polując na kuropatwy wśród wrzosowisk. Castle lubił błyskawicznie szkicować w myślach postacie współpracowników, a czasami nawet spisywał swoje spostrzeżenia.

– W Corpus Christi znałem chyba pańskiego kuzyna – powiedział Daintry. Głos miał sympatyczny, ale wyglądał na lekko zniecierpliwionego. Prawdopodobnie śpieszył się na pociąg odjeżdżający na północ z dworca King’s Cross.

– Pułkownik Daintry to nasza nowa miotła, ma zaprowadzić nowe porządki – wyjaśnił brygadier Tomlinson, a Castle dostrzegł, jak Daintry skrzywił się, usłyszawszy to słowo. – Przejął funkcję szefa ochrony po Meredice, ale nie wiem, czy kiedykolwiek spotkał pan Mereditha...

– Ma pan na myśli mojego kuzyna Rogera? – odpowiedział Castle. – Nie widzieliśmy się od lat. Zdał celująco egzamin z literatury i języków klasycznych w Oksfordzie. Zdaje się, że pracuje w Ministerstwie Skarbu.

– Właśnie opisywałem pułkownikowi naszą strukturę...

– rozwoził się dalej brygadier, nie zbacząc z tematu.

– Ja wybrałem prawo – rzekł Daintry. – Ledwo na czwórkę. Pan studiował historię?

– Owszem. Zaledwie dostatecznie.

- W Christ Church?
- Tak.
- Wyjaśniłem pułkownikowi, że tylko pan i Davis macie dostęp do ściśle tajnych materiałów w sekcji sześć-A
- ciągnął Tomlinson.
- Jeśli w naszej sekcji w ogóle istnieją tajne materiały. Oczywiście, również Watson ma do nich dostęp.
- Ten Davis ukończył uniwersytet w Reading, prawda?
- zapytał Daintry, jakby nieco lekceważąco.
- Nieźle się pan przygotował...
- Jeśli chodzi o ścisłość, dopiero co osobiście rozmawiałem z Davisem.
- To dlatego wrócił z lunchu dziesięć minut po czasie.
- Uśmiech Daintry'ego przypominał otwartą ranę. Miał bardzo czerwone usta, których kąciki rozchyłyły się z trudnością.
- Rozmawiałem z Davisem o panu, więc teraz rozmawiam z panem o Davisie – powiedział. – Sprawdzam panów otwarcie. Proszę wybaczyć nowemu porządkowemu – dodał zmieszany, gubiąc się w metaforach. – Muszę się zorientować w układach. Powinniśmy przestrzegać dyscypliny, mimo zaufania, którym, ma się rozumieć, panów darzymy. Przy okazji: czy Davis ostrzegł pana?
- Nie. Ale czemu miałby mi pan wierzyć? Może jesteśmy w znowie.
- Rana ponownie nieco się otworzyła, lecz Daintry zaraz zacisnął usta z powrotem.
- On ma lewicowe skłonności, prawda?
- Należy do Partii Pracy. Mam nadzieję, że sam panu o tym powiedział.
- Nic w tym złego, rzecz jasna – odparł Daintry. – A pan?
- Nie zajmuję się polityką. O tym Davis chyba też wspomniał.

- Ale czasami pan głośuje?
- Nie głośowałem pewnie od wojny. Dzisiejsze problemy wyglądają jakoś... prowincjonalnie.
- Ciekawy punkt widzenia – skwitował Daintry z dezaprobatą.

Castle czuł, że popełnił błąd, mówiąc mu prawdę; zawsze jednak wolał mówić prawdę, chyba że chodziło o coś bardzo ważnego. Prawdę można było sprawdzać do woli. Daintry spojrział na zegarek.

- Nie zatrzymam pana długo. Muszę złapać pociąg z King's Cross.

- Połuje pan w weekend?

- Tak. Skąd pan wiedział?

- Intuicja – odparł Castle i znów pożałował odpowiedzi. Bezpieczniej było się nie wychylać. Z każdym rokiem coraz częściej nawiedzały go marzenia o zupełnym wtopieniu się w otoczenie. Ktoś inny marzyłby w taki sposób o fenomenalnych stu punktach w jednym meczu na Lord's*.

- Zauważył pan pokrowiec na strzelbę przy drzwiach?

- Owszem – przytaknął Castle, choć wcześniej go nie widział. – To dlatego pomyślałem o polowaniu. – Z zadowoleniem spostrzegł, że Daintry wygląda na przekonanego.

- Nie ma w tym nic osobistego – wyjaśnił Daintry. – Czysto rutynowa kontrola. Tyle mamy przepisów, że czasami zdarza nam się lekceważyć niektóre z nich. To leży w ludzkiej naturze. Na przykład zakaz wnoszenia materiałów z biura...

Spojrzał znacząco na aktówkę Castle'a. Oficer i dżentelmen otworzyłby ją natychmiast z jakimś zarcikiem i pokazał zawartość, ale Castle nie był oficerem ani nie

* Lord's – stadion krykietowy w Londynie.

uważał się za dżentelmena. Był ciekaw, jak daleko posunie się nowy szef ochrony.

– Nie idę do domu – powiedział. – Wychodzę tylko na lunch.

– Nie ma pan chyba nic przeciwko... – Daintry wyciągnął rękę po aktówkę. – O to samo poprosiłem Davisa – dodał.

– Davis nie miał ze sobą aktówki, kiedy go widziałem.

Daintry zaczerwienił się. Byłby tak samo zawstydzony, pomyślał Castle, gdyby zastrzelił naganiacza.

– Ach tak, to musiał być ten drugi – bąknął. – Zapomniałem, jak się nazywa.

– Watson? – podsunął brygadier.

– Tak, Watson.

– Więc sprawdzał pan nawet naszego szefa?

– To część procedury – wyjaśnił Daintry.

Castle otworzył aktówkę i wyjął egzemplarz „Berkhamsted Gazette”.

– Co to? – zainteresował się Daintry.

– Lokalna gazeta. Zamierzałem przeczytać ją przy lunchu.

– Tak, oczywiście. Zapomniałem. Mieszka pan dość daleko stąd. Nie przeszkadza to panu?

– To niecała godzina jazdy pociągiem. Potrzebny mi dom i ogród. Widzi pan, mam dziecko. I psa. Nie można ich chować w mieszkaniu, w każdym razie nie tak komfortowo.

– Zauważyłem, że czyta pan *Clarissę Harlowe*. Podoba się panu?

– Jak dotąd, tak. Ale zostały mi jeszcze cztery tomy.

– A to co?

– Lista rzeczy do zapamiętania.

– Do zapamiętania?

– Lista zakupów – wyjaśnił Castle. Pod nagłówkiem z

jego adresem, King's Road 129, widniało: „Dwie paczki malteserów. Pół funta earl greya. Ser: wensleydale albo double gloucester. Krem do golenia Yardleya”.

– Maltesery? Cóż to, u licha, jest?

– Rodzaj czekoladek. Powinien pan spróbować. Są pyszne. Moim zdaniem lepsze niż kit katy.

– Myśli pan, że byłyby odpowiednim prezentem dla pani domu? – zapytał Daintry. – Chciałbym jej kupić coś niecodziennego. – Spojrzał na zegarek. – Może powinienem wysłać portiera. Mam jeszcze trochę czasu. Gdzie można je dostać?

– W ABC na Strandzie.

– W ABC? – powtórzył Daintry.

– Tam, gdzie sprzedają dmuchany chleb.

– Dmuchany chleb... a co to ma...? Zresztą, nie pora na takie szczegóły. Te... łakocie... Jest pan pewien, że się nadadzą?

– Cóż, są różne gusta.

– Fortnum jest chyba bliżej.

– Tam pan ich nie dostanie. Są za tanie na takie sklepy.

– Hm... Nie chciałbym wyjść na skąpca.

– To niech pan ich kupi więcej. Na przykład trzy funty.

– Jeszcze raz: jak one się nazywają? Może powie pan portierowi, wychodząc?

– To już pan skończył mnie sprawdzać? Jestem czysty?

– Ależ tak. Mówiłem panu, Castle, to tylko formalność.

– Pomyślnych łowów.

– Wielkie dzięki.

Gdy Castle przekazał portierowi wiadomość, ten upewnił się:

– Trzy funty, powiada pan?

– Tak.

– Malteserów?

– Tak.

– Kto to przydźwiga?

Przywołał swojego asystenta, zajętego akurat lekturą świerszczyka, i zarządził:

– Leć po maltesery dla pułkownika Daintry’ego. Trzy funty wystarczy.

Tamtę liczył przez chwilę, a potem oświadczył:

– To będzie ze sto dwadzieścia paczek czy coś koło tego.

– Nie, nie – sprostował Castle. – Źle pan liczy. Pułkownik, jak sądzę, miał na myśli wagę, nie kwotę.

Zostawił ich pogrążonych w obliczeniach.

W pubie pojawił się spóźniony o kwadrans i jego kącik był już zajęty. Jadł i pił szybko. Wyszło mu, że nadrobił trzy minuty. Potem kupił krem do golenia w drogerii w St James’s Arcade, herbatę u Jacksona, tam też wziął double gloucester, żeby zyskać na czasie, chociaż zwykle zachodził po ser do sklepu na Jermyn Street. Niestety maltesery, które chciał kupić w ABC, skończyły się, zanim tam dotarł. Sprzedawca powiedział mu, że przed chwilą był na nie nadzwyczajny popyt, więc Castle musiał zadowolić się kit katami. Do biura spóźnił się zaledwie trzy minuty.

– Nie powiedziałaś mi, że sprawdzają – zwrócił się do Davisa.

– Przysięgłem, że nikomu nie powiem. Nakryli cię na czymś?

– Niezupełnie.

– Mnie nakrył. Zapytał, co mam w kieszeni płaszcza. Miałem raport od pięćdziesiąt dziewięć-osiemset. Chciałem go przeczytać przy lunchu.

– I co powiedział?

– Nic, tylko mnie ostrzegł. Stwierdził, że reguły zostały ustanowione po to, żeby ich przestrzegać. I pomyśleć, że

kolega Blake* (po co on uciekał?) załatwił sobie czterdziestoletnie zwolnienie z podatku dochodowego, intelektualnego wysiłku i odpowiedzialności, a my teraz za to cierpimy.

– Pułkownik Daintry nie był wobec mnie szczególnie dociekliwy – powiedział Castle. – Poznał w Corpus Christi mojego kuzyna. To zupełnie zmienia postać rzeczy.

* George Blake, funkcjonariusz MI6 i „kret” KGB, po zdemaskowaniu skazany na 42 lata więzienia za działalność szpiegowską. W 1966 roku, po sześciu latach odsiadki, uciekł z więzienia i osiadł w Moskwie.

ROZDZIAŁ II

Castle'owi udawało się zwykle zdążyć na pociąg z Euston o szóstej trzydzieści pięć. Do Berkhamsted dojeżdżał punktualnie dwanaście po siódmej. Jego rower czekał na stacji – Castle znał konduktora od lat i zawsze zostawiał pojazd pod jego opieką. Jechał potem do domu dłuższą drogą, dla zdrowia – przez most na kanale, obok wzniesionego w stylu Tudorów budynku szkoły, przez High Street, mijał szarą kamienną bryłę kościoła parafialnego, w którym przechowywano hełm krzyżowca, i wjeżdżał na wzgórze Chilterns. Do swojego małego bliźniaka na King's Road dojeżdżał zawsze – jeśli nie uprzedził telefonicznie, że wróci później – o wpół do ósmej. Miał wtedy czas powiedzieć dobranoc synowi i wypić whisky lub dwie przed kolacją o ósmej.

Kiedy ma się dziwaczną pracę, każdy element codziennej rutyny nabiera wielkiej wartości; być może dlatego po przyjeździe z RPA Castle powrócił w rodzinne strony: nad kanał ocieniony płaczącymi wierzbami, do szkoły i ruin sławnego niegdyś zamku, który nie poddał się, oblężony przez księcia Ludwika, późniejszego króla Francji Ludwika VIII Lwa, i którego jednym z kierowników budowy, jak głosiła legenda, był Chaucer, a także – kto wie? – być

może jakiś przodek Castle'a pracował tam jako rzemieślnik. Z zamku zostało teraz tylko kilka porośniętych trawą pagórków i krótki ciąg kamiennych murów, równoległy do kanału i linii kolejowej. Za nimi, wśród krzewów głogu i kasztanowców, biegła droga z miasta na błonia. Przed laty mieszkańcy miasta walczyli o prawo wypasania tam bydła, ale w dwudziestym wieku można było wątpić, czy jakiegokolwiek zwierzęta, prócz może królików czy kóz, pożywiłyby się pośród paproci, janowców i orlic.

Gdy Castle był dzieckiem, na błoniach trafiały się jeszcze resztki szańców, wykopanych w ciężkiej czerwonej glinie podczas pierwszej wojny światowej przez adeptów przysposobienia oficerskiego należących do miejscowej palestry – młodych prawników, którzy ćwiczyli tam, zanim wysłano ich na śmierć do Belgii lub Francji, już jako członków bardziej tradycyjnych oddziałów. Niebezpiecznie było chodzić po błoniach, nie wiedząc, jak rozmieszczone są szanice, były one bowiem głębokie na kilka stóp, jak te, które Brytyjski Korpus Ekspedycyjny wykopał wokół Ypres. Obcy ryzykował nagły upadek i złamanie nogi. Dzieci, znające błonia od małego, buszowały po nich swobodnie, do czasu gdy zaczynały tracić orientację. Z jakichś powodów Castle nigdy jej nie stracił i czasami, w dniach wolnych od pracy, brał Sama za rękę, pokazywał mu kryjóWKi i uczył go unikać wielu czyhających na błoniach niebezpieczeństw. Ileż kampanii przeciw przeważającym siłom stoczył tam jako dziecko! Dni partyzantki powróciły, marzenia stały się rzeczywistością. Żyjąc wśród rzeczy od dawna dobrze znanych, czuł się bezpieczny – jak recydywista zamknięty ponownie w więzieniu, które dobrze zna.

Castle pchał rower w górę King's Road. Po powrocie do Anglii kupił dom, zaciągając kredyt w towarzystwie

budowlanym. Mógł z powodzeniem zaoszczędzić pieniądze, płacąc gotówką, ale nie chciał zbyt odstępować od nauczycieli z sąsiedztwa – z ich pensji nic nie dawało się odłożyć. Z tego samego powodu nie zdjął znad frontowych drzwi krzykliwego witraża przedstawiającego *Śmiejącego się kawalera**. Nie lubił go, kojarzył mu się z gabinetem dentystycznym – w prowincjonalnych miasteczkach witraże często kryją przed oczami obcych męki pacjentów na fotelu – ponieważ jednak jego sąsiadom nie przeszkadzały podobne ozdoby, zostawił swój w spokoju. Nauczyciele z King's Road twardo trzymali się zasad estetycznych wyniesionych z północnej części Oksfordu, gdzie wielu z nich pijało herbatę ze swoimi wykładowcami. Castle znakomicie by tam do nich pasował ze swoim rowerem, który mógłby zostawiać w holu pod schodami na Banbury Road.

Otworzył drzwi kluczem typu yale. Myślał kiedyś o kupnie zamka wpuszczanego we framugę lub czegoś jeszcze bardziej wyszukanego u Chubba na St James's Street, ale się powstrzymał. Jego sąsiadom wystarczyły yale, a zresztą w ciągu ostatnich trzech lat włamania zdarzały się nie bliżej niż w Boxmoor. Hol był pusty, tak samo salon – widział to przez otwarte drzwi. Z kuchni nie dochodził żaden dźwięk. Od razu zauważył, że na kredensie, obok syfonu, nie było butelki whisky. Wieloletnia rutyna została naruszona i Castle poczuł niepokój, jak ukłucie owada.

– Sarah! – zawołał, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Wstrzymał oddech, stojąc w otwartych drzwiach do holu, obok stojaka na parasole, i obrzucając szybkimi

* Portret pędzla holenderskiego malarza Fransa Halsy (1580?-1666).

spojrzeniami znajomy obraz, w którym brakowało jednego elementu – butelki whisky. Odkąd tu zamieszkali, nie opuszczała go pewność, że pewnego dnia spotka ich nieszczęście, i wiedział, że kiedy to się zdarzy, nie może dopuścić, by zdradziła go panika – musi uciec szybko, nie próbując nawet zabrać żadnej pamiątki ich wspólnego życia. *Wtedy ci, którzy będą w Judei, niech uciekają w góry...**. Nie wiedzieć czemu, pomyślał o kuzynie w Ministerstwie Skarbu, jakby był on rodzajem amuletu, króliczą łapką na szczęście, a potem odetchnął z ulgą, słysząc głosy na piętrze i kroki schodzącej na dół Sarah.

– Nie słyszałam cię, kochanie. Rozmawiałam z doktorem Barkerem.

Doktor Barker szedł za nią – pan w średnim wieku, z jaskrawym znamieniem truskawkowego koloru na lewym policzku, w szarym, jakby przykurzonym ubraniu, z dwoma wiecznymi piórami w kieszonce na piersi; a może jedno było miniaturową latarką, którą świecił w gardła pacjentów?

– Coś nie w porządku?

– Sam ma odrę, kochanie.

– Wydobrzeje – zapewnił doktor Barker. – Trzeba mu tylko ciszy. I niezbyt dużo światła.

– Napije się pan whisky, doktorze?

– Nie, dziękuję. Mam jeszcze dwie wizyty, a już jestem spóźniony na kolację.

– Gdzie Sam mógł złapać odrę?

– A, u nas to niemalże epidemia. Nie ma się czym martwić, u syna choroba ma łagodny przebieg.

Gdy lekarz wyszedł, Castle pocałował żonę. Przesunął dłonią po jej czarnych, sztywnych włosach, dotknął

* Łk 21,21. Por. także Mk 13,14. Ten i następne cytaty wg Biblii Tysiąclecia, wyd. 3 popr., Poznań–Warszawa 1980.

wysokich kości policzkowych. Pieścił palcami rysy jej czarnej twarzy tak, jak ktoś mógłby pieścić kawałek cennej rzeźby, który wygrzebał spośród odłamków zalegających schody hotelu dla białych turystów; upewniał się, że to, co ceni jak nic na świecie, wciąż jest bezpieczne. Pod koniec dnia zawsze miał wrażenie, że nie było go latami, a przez ten czas ona była w domu sama, bezbronna. Nikt tu jednak nie zwracał uwagi na jej afrykańskie pochodzenie. Żadne tutejsze prawo nie mogło zagrozić ich wspólnemu życiu. Byli bezpieczni – a przynajmniej tak bezpieczni, jak to tylko możliwe.

– Co się stało? – spytała.

– Martwiłem się. Kiedy przyszedłem, wszystko było nie tak. Nie zastałem cię na dole. Nawet ta butelka...

– Oj, te twoje przyzwyczajenia...

Kiedy przygotowywała drinka, zaczęła rozpakowywać aktówkę.

– Rzeczywiście nie ma się czym martwić? – zapytał. – Nie lubię tonu, jakim mówią lekarze. Zwłaszcza kiedy zapewniają, że wszystko jest w porządku.

– Nie ma powodu do obaw.

– Mogę go zobaczyć?

– Już śpi. Lepiej go nie budź. Dałam mu aspirynę.

Castle odłożył na półkę pierwszy tom *Clarissy Harlowe*.

– Skończyłeś?

– Nie, wątpię, czy kiedykolwiek mi się to uda. Życia nie starczy.

– Zawsze myślałam, że lubisz długie książki.

– W takim razie zabiorę się do *Wojny i pokoju*, zanim będzie za późno.

– Nie mamy tej książki.

– Kupię jutro.

Sarah uważnie odmierzyła poczwórną, według

angielskich miar, whisky i podała mu ją, otoczywszy jego dłonią szklankę, jakby to była wiadomość przeznaczona wyłącznie dla niego. Rzeczywiście, jedynie oni wiedzieli, ile pił – siedząc w barze z kolegami lub nawet wśród nieznanym, zwykle brał nie więcej niż jedno piwo. W jego zawodzie najmniejszy ślad uzależnienia mógł wzbudzić podejrzenia. Tylko Davisowi było to na tyle obojętne, że złapał bez umiaru, nie patrząc, czy ktoś go widzi, ale ta jego śmiałość brała się z przekonania o swojej kompletnej niewinności. Castle na zawsze utracił i śmiałość, i niewinność w Republice Południowej Afryki, gdy czekał na nadejście katastrofy.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zjemy dziś zimną kolację? – spytała Sarah. – Cały wieczór byłam przy Samie.

– Oczywiście, że nie.

Otoczył ją ramieniem. To, jak bardzo się kochali, stanowiło tajemnicę równie wielką, jak poczwórna porcja whisky w szklance. Rozmowa o tym z kimkolwiek byłaby kuszeniem losu. Miłość jest jednym wielkim ryzykiem. Literatura zawsze tak ją opisuje. Tristan, Anna Karenina, nawet żądze Lovelace'a... Castle spojrział na ostatni tom *Clarissy*. „Lubię swoją żonę” – na głos nigdy nie powiedział nic więcej, nawet Davisowi.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

– Mniej więcej to samo, co robisz teraz. Dwie podwójne przed kolacją.

– Kiedy przyszedłem i nie było ciebie ani butelki whisky, przestraszyłem się.

– Czego?

– Że zostanę sam. Biedny Davis – dodał. – Wracać do domu, w którym nikt nie czeka...

– Na pewno ma wiele innych przyjemności.

– Ja wolę poczucie bezpieczeństwa – odparł Castle.